NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

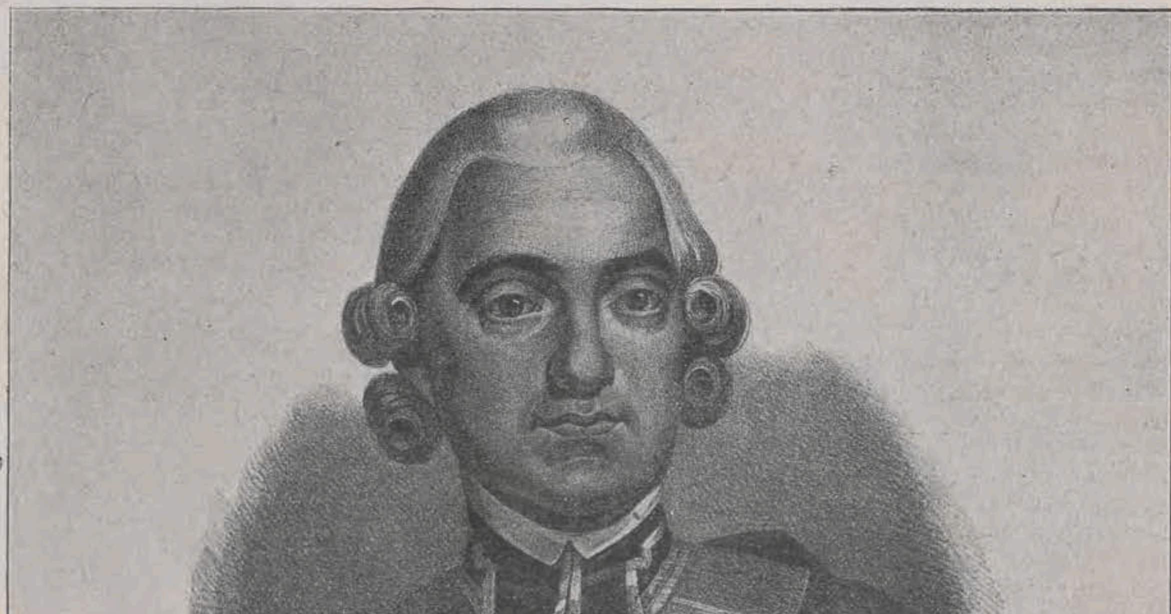
ZŁOTY RÓG

ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA I ADMINISTRACJA WARSZAWA UL. MAZOWIECKA № 5 TEL. № 226-83.

№ 11

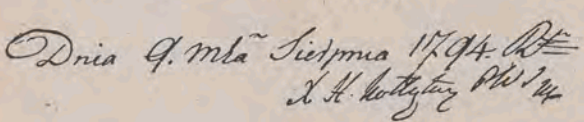
WARSZAWA DNIA 3 MARCA 1912 R.



HUGO KOŁŁĄTAJ.

Podług ry.s Władysława Oleszczyńskiego. Ze zbiorów Hieronima Wildera.





(Autograf Kołłątaja).

HUGO KOŁŁĄTAJ.

Zaginiona i zapomniana gdzieś w podziemiach Powązek leży bezimienna trumna człowieka, którego niepospolita indywidualność niegdyś, w najtragiczniejszym momencie naszych dziejów samą potęgą swego umysłu i niezmordowanej energji wysuwała się na czoło, a pracą swą wypełniła wszystkie pola działalności, jakie wówczas przed ludźmi dobrej woli otworem stały.

We wszystkich przedsięwzięciach zmierzających do podźwignięcia Polski przed jej ostatecznym upadkiem, Hugo Kołłątaj brał najczynniejszy udział, był on ich duszą, nadawał im rozpęd i kierunek, przewidywał i usuwał przeszkody, obejmował wzrokiem całość, nie tracił z oczu najdrobniejszego szczegółu, i gdyby w owym czasie istniały były już w kraju w dostatecznej ilości czynniki jego odrodzenia, gdyby rozkład przygotowany w ciągu dwuch stuleci można było wysiłkiem lat kilkunastu powstrzymać, byłby on może więcej niż ktokolwiek ze współczesnych powołany do roli opatrznościowego męża, wiodącego narod z nad skraju przepaści na bezpieczną równinę.

Ale w owym momencie ogólnej katastrofy zapadały się wszystkie budowy, choćby wedle najmędrszego planu wzniesione. Ci co murować chcieli na silnych fundamentach, nie zdążyli nawet kamieni węgielnych ubezpieczyć. Ci co pospiesznie podpierali i przerabiali na prędce walące się mury, padali pod ich gruzami. Na wszystko brakło czasu, a chwila, która oddzielała myśl od jej wykonania, biła gromem w ramiona sięgajace po broń lub narzędzie pracy twórczej.

Po owem tragicznem pokoleniu obrońców ginącego świata pozostało tylko rzewne echo pięknej tradycji, melancholijny dźwięk wspomnień bolesnych i świętych jak groby ukochanych rodziców. Kilka nazwisk czczonych jak relikwie, kilka postaci czystych i szlachetnych, w które wcieliła się idea ojczyzny i ideał cnoty obywatelskiej — pozostały jedyną z owego czasu spuścizną. Wśród nich rysuje się niepokojąca sylwetka człowieka, o którym ani współcześni, ani potomni nie wiedzieli na pewno, czy lękać się go, czy mu zaufać, wielbić, czy potępiać należy. Był taki inny niż oni wszyscy, tak odrębny od swego otoczenia, choć tak nieodrodny syn swego wieku i swej ojczyzny!

Jedyny, trzeźwy i praktyczny mąż stanu, polityk w każdym calu, mądry organizator, przenikliwy znawca ludzi, umiejący ich słabostki i wady równie wytrawnie obliczać jak ich zapał i cnoty, a jedne i drugie obracać na korzyść zamierzonego przedsięwzięcia, zmienny w wyborze środków, lecz w jeden niezmienny cel wpatrzony, przez ten cel wzniosły łączył się z całą grupą idealistów, on realista z natury i przekonania. Gdy jedni pamiętając o sobie zapomnieli o kraju, lub też przez pamięć kraju zapomnieli o sobie, on nie zapomniał nigdy ani o jednem, ani o drugiem, lecz zawsze ściśle jedno z drugiem łączył, pomyślność ojczyzny i własne ambicje, wszechstronny rozwój narodu i pole pracy dla siebie. Zarzucano mu żądzę znaczenia i władzy, wadę tak rzadką w Polsce, że ją tu raczej za cenną zaletę poczytywać należy tem więcej, że była ona wyrazem wrodzonego powołania u człowieka obdarzonego wybitnym talentem politycznym, organizacyjnym i twórczym. Byli wówczas tacy, którzy swe talenty oddawali w służbę obcej sprawie, którzy dochodzili do wpływu i władzy pod cieniem obcych potęg a nikt na nich mimo to nie rzucał kamieniem, jeśli tylko mogli się wylegitymować z czynów dla kraju użytecznych. A ileż takich czynów miał w swojem życiu Kołłątaj!

Urodził się w dobie najgłębszego upadku narodu, w 1750 roku, w końcu okresu owej pijanej „szczęśliwości saskiej“, gdy Polska była niby karczmą przydrożną, popasem, wydeptaną ścieżką dla wojsk sąsiadów, pogrążona w ciemnocie, niemocy i rozprzężeniu.

„Stan oświecenia w Polsce“ w owym okresie opisywał później we fragmencie niedokończonego pamiętnika historycznego, który byłby mógł stanowić najciekawszy wizerunek epoki. — Ukończywszy w Rzymie studja, w Akademji krakowskiej rozpoczęte, jako ksiądz powrócił do kraju, dokładnie poznał jego stosunki i już we wczesnym względnie wieku znalazł dla siebie wdzięczne pole działalności w Komisji edukacyjnej, której był jednym z najczynniejszych pracowników. Jej ustrój i organizacja mianowicie była w znacznej części jego dziełem, a dowód jak poważne i wpływowe zajmował w niej stanowisko mamy i w tem, że powołano go na wizytatora, czyli organizatora Akademji krakowskiej, której zadanie pierwszorzędne polegać miało na kształceniu nauczycieli dla całej sieci szkół, jakiemi komisja kraj pokryć zamierzała.

W budowie szkolnictwa miała tedy Szkoła Główna stanowić organ centralny, od którego doskonałości sprawność wszystkich funkcji tej wielkiej machiny zależała. Kołłątaj wywiązał się świetnie z zadania niesłychanie trudnego

i odpowiedzialnego. Akademja była w zupełnym upadku, była parodją wszechnicy i dawała swym uczniom parodję nauki. Z gruzów dźwignął ją Kołłątaj i zdołał nawet zgrupować w niej a poniekąd i wykształcić takie pierwszorzędne siły pedagogiczne i naukowe, które w znacznie późniejszym okresie, stały się chlubą kraju, najsilniejszymi filarami jego kulturalnego odrodzenia. Gdy potem na Wołyniu dopomagał Czackiemu w organizowaniu liceum Krzemienieckiego, gdy w Wilnie pod opieką Czartoryskiego odradzała się akademja, on wśród dawnych swych krakowskich znajomych najodpowiedniejsze dla tych uczelni pozyskał jednostki.

Na pracę edukacyjną patrzał on wyłącznie z politycznego stanowiska. Wychowanie było w jego oczach tak jak w oczach jego kolegów z komisji edukacyjnej, najskuteczniejszym środkiem podźwignięcia kraju:

„Gorliwość i cnota dzisiejsza — pisał w „Listach anonima“ do St. Małachowskiego, da na moment ratunek Rzptej, lecz następnym czasom nikt nie potrafi zaradzić tylko przystojnie a do potrzeb Rzeczypospolitej edukowana młodzież“.



Stanisław August przysięga na konstytucję.

(Ze współczesnego sztychu).

Przez jednolity ustrój szkolnictwa zmierzano do wytworzenia jedności opinji politycznej w narodzie, przez program nauk i tendencję podręczników do wszczepienia w młodzież ducha obywatelskiego, przez kształcenie zawodowe do przysporzenia umiejętnych pracowników we wszystkich dziedzinach życia i spotęgowanie wytwórczości ekonomicznej, przez oświatę ludu do pomnożenia liczby tych, którzy naród stanowią.

„Oświecenie ludu jest daleko większą rzeczą jak założenie najuczeńszego ateneum. Idzie tu albowiem o dobro miljonów ludzi najużyteczniejszych społeczności“, pisał do Czackiego, gdy Akademja wileńska krytykowała zbyt wysoki program wykształcenia proponowany przezeń dla nauczycieli ludowych.

Praca w Akademji krakowskiej była równie pożyteczną dla Szkoły Głównej, jak dla Kołłątaja samego. Zdobył w niej wiele cennych doświadczeń, poznał ludzi i stosunki,—wyrobił swój talent organizacyjny. W dobie poprzedzającej zwołanie Sejmu Wielkiego, był już w Warszawie całkowicie oddany idei zamierzonych reform zaprzątającej najdzielniejsze umysły i zagrzewającej najszlachetniejsze serca w owem pokoleniu. Jakgdyby przeczuwając, że zanosi się na straszną mitręgę drogiego czasu, jeszcze przed zebraniem się stanów wydał dzieło, w którem przedstawił cały plan przebudowy politycznego ustroju Rzeczypospolitej. Są to owe pamiętne i słynne *„Listy anonyma“* zwrócone do Stanisława Małachowskiego, przyszłego marszałka sejmu. Zaraz na wstępie ostrzega go, jeśli czas niema upłynąć na płonnych deliberacjach, należy przyjść do izby z gotowymi projektami, sprzyjająca pora może minąć szybko, a sąsiedzi nie zaniedbają swego interesu. „Nasza niezgoda dopomagała ich potrzebie, lecz ich potrzeba czuwać będzie nad naszą zgodą“.

Na pierwszym planie stawia reformę skarbu i wojska. „Na nic się nie przyda najdoskonalsza poprawa Rzptej, póki jej siły nie wzmocnimy“.

Podstawą siły militarnej może być tylko zasobny skarb, a to ostatnie możliwe jest jedynie przy dobrej „ekonomji politycznej“, jak mówi Kołłątaj, to jest przy takiej gospodarce, któraby rolnictwo, przemysł i handel do kwitnącego doprowadzić mogła stanu.

Reformy ekonomiczne są dla niego punktem wyjścia do reform społecznych. Wierzy on — jak wszyscy współcześni — w ewangielję praw człowieka, w prawo natury jako sankcję i źródło sprawiedliwości społecznej, ale dla niego naczelnym nakazem jest przedewszystkiem zbawienie Rzeczypospolitej i choć w odezwie *„Do*

prześwietnej Deputacji" — malując rozdzierający obraz nędzy ludu, wzywa czułe serca niewieście, by nad tą „tragiedją" zabolały, główny nacisk kładzie na zgubne następstwa tego stanu rzeczy: „Sama natura pomści się na nas tak widocznej niesprawiedliwości. Pospólstwo będzie naówczas, jak jest dotąd rzeczą dziedzica, lecz szlachta będzie niezawodnie pospólstwem, a te same sofismata, których naprzeciw własnemu sercu używamy dzisiaj dla przytłumienia głosu prawdy, służyć będą sąsiadom do uczynienia nas niewolnikami".

„Cóż to jest za naród—pisze dalej—w którym dorachować się można stu tysięcy familji mających przeróżny interes o konstytucję rządową".

Działalność jego rozwijała się wówczas w dwuch kierunkach. Z jednej strony oddziaływał bezpośrednio na prawodawców, podsuwając im dobrze obmyślone projekty reform, z drugiej przez swych bliższych przyjaciół politycznych, przez całą literaturę polemiczną i publicystyczną, która wychodziła w tak zwanej „Kuźnicy Kołłątajowskiej", poruszał opinję publiczną wśród sfer bezpośrednio interesowanych w zdemokratyzowaniu ustroju państwowego. On może jeden ze współczesnych rozumiał, jak doniosłym czynnikiem przeobrażeń politycznych jest opinja, jak niezbędną rzeczą jest zbudzić życie w tych, których się do czynnej roli powołuje. To też niewątpliwie Kuźnicy Kołłątajowskiej przypisać to należy, że raz po raz w ciągu długich i nużących prac sejmowych zjawiały się owe ciekawe wystąpienia zbiorowe, owe petycje i memorjały mieszczaństwa dla poparcia zamierzonych reform, manifestacyjne aplauzy po ich przyjęciu.

Przeciwnicy mieli za złe Kołłątajowi jego popularność wśród „motłochu" a współczesne wypadki we Francji malowały im grozę położenia w wielce przesadzonych barwach. Dziś z odległości stulecia widzimy jasno, że strach miał stanowczo zbyt wielkie oczy, że między Paryżem i Warszawą analogje były bardzo sztucznie naciągane i nic podobnego do walki klas nie mogło się rozegrać na bruku stolicy, w której każdy moment entuzjazmu w bankietach i iluminacjach znajdował swój punkt kulminacyjny a gromadne nobilitowanie mieszczan i zapisywanie się szlachty w księgi miejskie było najwyższym wyrazem demokratyzmu.

Najweselszy z zamachów stanu stał się wielkim festynem na całym obszarze Polski, póki huk dział nie zmącił sielankowego nastroju. Cała niemoc narodu trawionego nierządem przez dwa wieki ujawniła się w kampanji 1792 roku. Po złudzie nadziei, przyszło czarne zwątpienie, chwila w której załamał się charakter Kołłątaja.

Był to czarny punkt w jego życiu. „W celu ratowania rzeczy zdesperowanych", jak tłumaczył się później, podpisał adres do Targowicy. Zbyt go znienawidzono w przeciwnym obozie, zbyt się lękano jego przewagi, [aby przyjąć tę fatalną rezygnację. Kołłątaj wyjechał z kraju i znów związał się ściśle z obrońcami zagrożonej sprawy.

Teraz stawiał wszystko na kartę; los jego był ściśle związany z losem ostatniej walki o istnienie państwa. Nic dziwnego, że był najradykalniejszym w wyborze środków, najbezwzględniejszym w działaniu. Jego dawna opinja „bożyszcze motłochu"; tu zapewne zbyt czerwono malowała jego działalność, nadmiernie zbliżała go do francuskich pierwowzorów, z którymi miał zresztą niesłychanie mało wspólnego.

To jednak sprawiło, że gdy po ostatecznej katastrofie zniknął z widowni, ścigała go potwarz. Nienawiść rodaków własnych wtrąciła go do austrjackiego więzienia, podtrzymywana przez nich legienda o jego niebezpiecznych tendencjach przez długich ośm lat zamykała mu wszelkie drogi wyjścia, a gdy w końcu wydostał się na wolność skazała go na zupełne odosobnienie i od wszelkiej publicznej pracy konsekwentnie odsuwała.

Popularność jego przekwitła szybko razem z wyjątkową chwilą, na tle której zabłysnęła. Ci, którzy mogli dla niego nieprzemijającą zachować wdzięczność, byli jeszcze wówczas bierną, nierozbudzoną masą, niezdolną dla nikogo stworzyć siły ani oparcia. Nie przestał jednak pracować z myślą służenia krajowi, choć niemal wyłącznie bezimiennie występował na arenę publiczną. Był bezimiennym doradcą Czackiego przy reformie szkół na Wołyniu, w której rozwinął cały zasób swej wiedzy i doświadczenia. W dobie powstania Księstwa Warszawskiego nakreślił cały obraz położenia politycznego i wskazań na przyszłość, pisał uwagi krytyczne, memorjały, wskazówki, podręczniki naukowe i wśród nieustannej pracy zaskoczyła go śmierć w przededniu wojny z Rosją, oszczędzając mu ostatniego rozczarowania w pełnem goryczy i zawodów życiu.

I. Moszczeńska.

WIKTOR GOMULICKI.

10)

Walc nocnych mgieł.

— Nie mów mi pan o nim. To jest zdrajca i zbrodniarz. Przytem gienjusz. Zabiłbym go — ale wpierw objąłbym za szyję i na jego piersi wszystkie łzy wypłakał...

Muzykanci, zajęci chowaniem swych instrumentów i zabierający się do odejścia z minami schodzą cych z warty żołnierzy, małona ten djalog zważali. Nagle wysunął się z pomiędzy nich jeden, najmniej pokaźny i prawie na intruza w tem gronie przyzwoitem wyglądający. Jakaś szara, nic nie mówiąca bryła, bez kształtu, bez osobowości.

Podkradł się do mnie z boku i głosem, który był również szary, tępy, drewniany, bąknął:

— Carl Mischke, do usług wielce szanownego pana...



Stanisław Bagieński. (Sal. art. Richlinga) „Vive l'empereur!" („Niech żyje cesarz!")

Zakipiałem. Moja dusza była rozpalona do czerwoności, a ten człowiek i jego wulgarne nazwisko padły na nią bryzgiem letniej wody. Nie patrząc nań wcale, zasyczałem:

— Nie znam pana... Odczepić się proszę...

— To ja napisałem „Walca nocnych mgieł".

— A!..

Zakołowało mi w głowie. „Jak też on wygląda?" — z bijącem od ciekawości szalonej sercem, pomyślałem. A zanim jeszcze myśl rzuciła rozkaz oczom, przemknął mi przed niemi obraz: dziecka, które omal nie stało się zbrodniarzem.

Podniosłem wzrok na Carla Mischke. Stał przedemną wątły a zawzięty, drżący a zuchwały. Budził litość i strach. Twarz jego była twarzą dziecka, które omal nie stało się zbrodniarzem. Opanowałem wzruszenie. Sądzę, że nie okazałbym go nawet szatanowi, stającemu we własnej postaci. I śmierć znalazłaby mnie z twarzą spokojną.

— Panie Mischke — rzekłem, zapalając cygaro, którego nie cierpię i które za chwilę miałem odrzucić — żądać będę od pana wyjaśnień...

— Słyszałem o tem.

— Może także zadośćuczynienia...

— I to mi wiadome.

— Zejść nam się przeto trzeba, pogadać...

— Ja gadam tylko przy kieliszku.

— Zatem w knajpie?

— Tak. Przy ulicy...

— Uprzedzić pana muszę, że pójdę na każdą ulicę — z wyjątkiem *Totgasse.*

— Właśnie przy *Totgasse* jest moja knajpa. Mała, brudna, pełna dymu, zaciszna piwniczka. Tuż obok wielkiego składu trumien.

— Ja do tej knajpy nie pójdę.

— Więc żegnam pana.

— Poczekaj, panie Mischke. Widzisz... przy wejściu na tę ulicę stoi cień — nie puszcza mnie na nią...

— Mnie także.

— Ha! — i poradziłeś z nim sobie?

— Poradziłem.

— Musiało cię to wiele kosztować...

— To już moja sprawa. Jednak żyję.

— Panie Mischke, nie wolno mi być słabszym od pana. Na *Totgasse* przyjdę.

— O dwunastej.

— W południe?

— W nocy.

— Czemu nie wcześniej?

— Ja wcześniej śpię.

— Więc do widzenia.

— — — — — — — — — — —

Zanim jeszcze usta otworzył, wiedziałem, że mówić będzie o kobiecie. Nie o muzyce, lecz o kobiecie. My wszyscy „pracujący w sztuce“ dokonywamy nieustannie takich, lub też wprost odwrotnych, transpozycji.

Nie odrazu wszakże wziął się do mówienia. Przyszedł o samej północy senny, blady, jakby odurzony, w odzieniu zmiętem, którego, jak się zdaje, na czas spoczynku nie zdejmował. Minę miał kwaśną i ponurą—sądzić było można, że połowę nocy przespał w obocznym „składzie“, albo po przeciwnej stronie ulicy za długim, czarnym, tajemniczym parkanem.

Zaczął od wypicia przy bufecie trzech kieliszków. Mówił, że to jego pierwsze śniadanie. Musiałem mu się przypomnieć, już bowiem naszego spotkania nie pamiętał. Siadł obojętnie przy jednym stoliku ze mną. Odgadując jego upodobania, kazałem podać ostryg i mocnej — podrabianej naturalnie i obficie rumem zaprawnej — madery. Chciwie jadł i pił, nie patrząc na mnie. Na jego szczupłej, delikatnej, o subtelnym rysunku twarzy, która, w chwili przybycia, była niemal kredowo biała, pojawiły się, w okolicy kości policzkowych, małe czerwone plamki.

Wpatrzył się bystro we mnie; głęboka pionową, bruzda pomiędzy brwiami, jeszcze bardziej mu się pogłębiła...

— Tak, tak, tak... — kilkakrotnie powtórzył.

I zaraz, z miną człowieka, który obowiązek swój rozumie i sumiennie spełnić go chce, mówić zaczął:

— Nazywała się Katherine von Dierheim, pochodzenia szlacheckiego, religji ewangielicko-reformowanej, córka dymisjowanego radcy dworu, sierota. Skończyła wyższy zakład naukowy dla panien szlacheckich w Berlinie, potem Konserwatorjum muzyczne w Lipsku. Następnie...

— Dość tego—przerwałem mu w gniewnem zniecierpliwieniu. — Czyż to ma być protokół sądowy?

(d. c. n.)

ZYGMUNT RÓŻYCKI.

CHOĆ W BŁĘKITACH...

Choć w błękitach mam władztwa swoje i korony,
To jednak szarej ziemi jestem poślubiony,
Gdzie smutniejsze i bledsze są jutrzniane błyski,
Gdzie bólem jestem karmion od samej kołyski.

Choć w słońcu dumnie skrzydła rozwijam [orłowe,
To jednak ludzkich myśli znam najcichszą mowę
I wiem, jaka jest uczuć i serc ludzkich ścieżka,
Gdzie rozpacz jest konania i gdzie szczęście [mieszka.

Choć w przestrzeniach się rozdrgam w zmierz- [chy złoto-szare,
To jednak tu na ziemi sprawuję ofiarę,
To jednak dla tej ziemi spalam się, rozzłacam,
Gdy potężny z swych tronów nadgwiezdnych [powracam.

OTO WIEM!..

Oto wiem, żem jest jeno marnym zlepkiem gliny,
Grudą lichych popiołów wśród ruin i zgliszczy,
A jednak mojej myśli, co przekwita w czyny,
Żaden wichr uskrzydlony płomieniem nie [zniszczy.

Oto wiem, że pięść czasu granity potrzaska,
Ścierając w pył nicości ich mocarne czoła,
Lecz serca, w którem świeci górnych tęsknot [łaska
Żadna śmierć swą otchłanią oszukać nie zdoła.

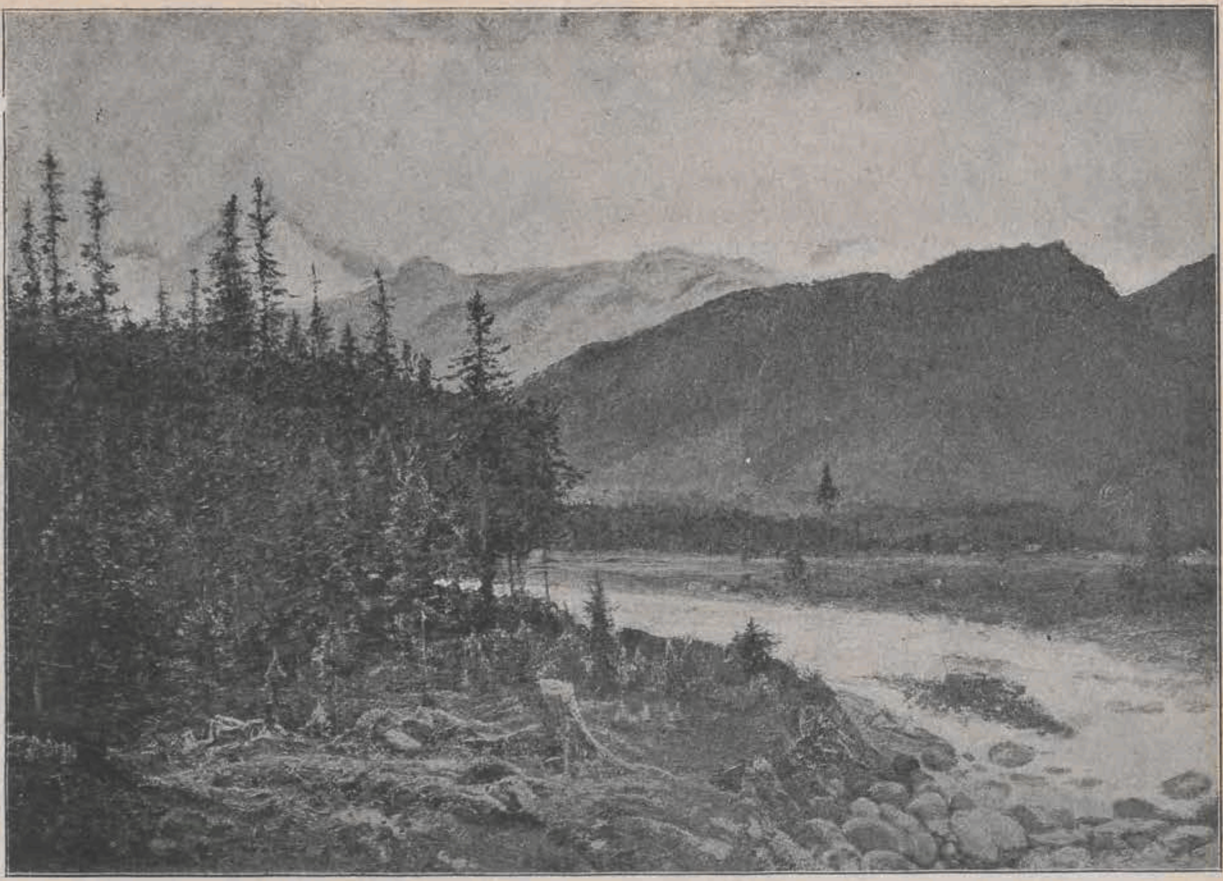
. . . .

O, trwożna ludzka myśli, ty przekwitaj w czyny,
O, serce zabłąkane, świeć tęsknotą górną!

POWIEDZCIE, ŻEM UMIERAŁ...

Jeżeli kiedy znowu, przypomniawszy o mnie,
Powróci ona tutaj w te zakątki, strony,
By ludzi się wypytać, co się ze mną stało,
To powiedzcie, żem nie był nigdy zasmucony,
Żem kochał codzień inną, żem szalał ogromnie,
Że serce mi ze szczęścia przedwcześnie skonało.

Powiedzcie, żem umierał cicho, bez cierpienia,
Uśmiechając się błogo pod zachodnią zorzę,
Która właśnie w tej chwili las złociła skośnie,
Żem nigdy nie wyszeptał, nigdy jej imienia
I tylko zasłuchany gdzieś w grające zboże
Czułem zapach fiołków—błękit—i przedwiośnie.



Wojciech Gerson. (Własność sal. art. Kulikowskiego). **Tatry.**

Z wystawy Polsk. Tow. Krajoznawczego „Krajobraz Polski“.

W dniu 1-ym marca otwartą została w salach ratuszowych wystawa Polskiego Tow. Krajoznawczego „Krajobraz Polski“, o której sprawozdanie zamieścimy w następnym numerze.

Śmierć księcia.

Opowiadanie giermka.

.... aż nagle wdarli się nieprzyjaciele przez wyłom w bocznej baszcie uczyniony— słońce właśnie wschodziło i świetlistą smugą ozłociło pana naszego z garstką rycerzy w potrzaskanych zbrojach. Staliśmy, wciśnięci w róg muru tuż koło mogił poległych— a przed nami oko w oko stanął mur łuczników z napiętymi łukami, a z nad ich głów sterczał szereg kopji wrażej jazdy, w srebrzyste pancerze strojnej — i rozstąpiły się ichnie szeregi naraz i przed front wysunął się rycerz w zbroi złocistej z pióropuszem białych piór strusich, jeszcze złocistszy przez słońca promienie, padające nań i na jego pukle złote i na jego rząd złocisty; na białym rumaku mnogością skier igrający.

— Poddajcie się! — metalicznym głosem ku nam zawołał.

— Nie, nie! — zawrzaślim jak jeden, a po twarzy księcia i pana naszego błysk zadowolenia przemknął.

— Łucznicy! — krzyknął rycerz złocisty, a oni strzały na cięciwy nakładli i wygięli się wpół, mierząc i skinienia czekając—a on znów ku nam zawołał — poddajcie się! — i koniem na nas ruszył.

Staliśmy w milczeniu, spokojni, w pana naszego wpatrzeni—a po nim jasność śmiertelna jakby już zaczęła chodzić, głowę podniósł w niebo i wpatrzony gdzieś w przestrzeń — zcicha powtarzał: „księżniczko, księżniczko!“

A złocisty rycerz bliżej ku nam podjechał i nagle, hełm zdjąwszy, zawołał: — „rycerze, jesteście wolni: oto zamek i cały dobytek tutejszy w rękach pana waszego i księcia zostaje — niech wasz nieustraszony pan i rycerz nadal nad wami rządy sprawuje — a do księcia: „wszystko tu twoje, rycerzu, jak było“.

— Wszystko tu moje — jakby z powątpiewaniem głucho powtórzył nasz pan i twarz mu zmartwiała i spochmurniała nagle.

— Ludzie wy moi wierni—zawołał książe do nas — oto oddaję wam dobytek mój

i zamek mój i włości moje, wam i tym tam w zamku wdowom i córkom poległych! — I nagłym ruchem potężnego miecza ciął między uszy kruczego rumaka swego — giń zwyciężony! — wykrzyknął, a między nami i szeregami złotego rycerza cisza śmiertelna padła i wszystkie oczy na księciu spoczęły i wszystkie twarze w bólu zastygły, patrząc na mękę oczu jego.

— Przywiedźcie tu do mnie tych tam z lochów—przerwał milczenie twardemi słowami książe.

A gdyśmy przed nim stawili rząd skutych, zwrócił ku nam ściemniałą twarz swoją i rzekł:

— Zamek i włości są wasze i dzieci waszych, ale przysięgę od was biorę, że nikt tu obcy nie wnijdzie przez was wpuszczony dobrowolnie; tego chcę i nakazuję, a wy to dzieciom waszym powtórzcie, że jak upiór między nie spadnę i temi rękami wyduszę, jeśli wpuszczą tych ludzi, co z dolin w góry nasze się pną!

— Przysięgacie? —

— Przysięgamy!—jak dzwon odpowiedź nasza zahuczała i echem poszła w dal.

— A teraz — zawołał książe — precz z tymi co chcieli się poddać, z murów ich!

I gdyśmy jak jeden skoczyli zdrajców męstwa naszego gubić, książe i pan nasz przez wyłom wyszedł i poszedł sam jeden we światy.

Do nóg mu przypadłem, dognawszy i ślad jego odnalazłszy, i błagałem! — o panie mój, wróć, wróć na zamek twój, rozgromisz i pomścisz przegraną naszą.

A on położył mi rękę na głowie i spojrzał mi w oczy—o księżniczko, jakież straszne to było spojrzenie, spojrzenie, co zdawało się mówić: „niema już mnie“; a potem przesunął ręką po czole i zdjął hełm, oh, księżniczko, w momencie tym zmartwiałem — jego krucze włosy przez ten czas krótki zbielały, jak srebrne nitki, a twarz jego prawie bronzowa zdawała się błyski rzucać ogniowe — a tak patrzył na mnie, jak ktoś zza grobu i ręką głowę mi ściskał i długo, długo milczał, a ja martwiałem i czułem miłość rosnącą dla niego i czułem, księżniczko, że życie mu swoje do nóg składam.

Przerwał wreszcie milczenie i rzekł: „idź chłopcze, idź w świat, idź z miejsca tego, gdzie twój pan z życiem porachunek czyni, nosiłeś tarczę i miecz za niepokonanym władyką, aż wypadły ci oto z rąk, wytrącono ci je, a panu twemu śmierci nie zadano i przeżył chwałę swoją.

Słuchaj mnie chłopcze, wierny ty mój— ty co ostatni w oczy moje patrzysz, i zważ— oto w świat szedłem by od hańby swojej uciec i zawierałem oczy—i nie mogłem ich zawrzeć i rozwierałem oczy, aby ślad swobody mojej odnaleźć i nie odnalazłem go, ach nie!

Zwalczono dłoń moją, a nie odebrano jej mocy za miecz ująć, zostawiono mi hełm, a oto pióropusz wiatry gdzieś uniosły i znikła niezwalczoność moja — i znikła swoboda moja.

O giermku wierny mój — nie będziesz ty już gnał za czarnym koniem mym po błoniu — padł on jak i ja padnę!“

— Panie, mój panie! — krzyknąłem i do nóg mu przypadłem — a on uciszył mnie jednem skinieniem — stanął na krawędzi przepaści, ramiona wzniósł ku górze i wołał hen, gdzieś w zaświat:

„sławo ty moja, sławo utracona! o mocy ty moja, mocy przepadła!

O księżniczko, księżniczko moja — nie wyciągają się już ręce moje zwalczone ku tobie — już mi nie szukać spojrzeń i uśmiechów twych, o księżniczko moja! O swobodo ty moja nieodzyskana, o swobodo! niegodnych rąk ku tobie nie wyciągam już, bom stracił cię, a śmierci nie znalazłem.“—

A odwracając się ku mnie zawołał: „patrz tutaj — patrz i powiedz im tam i powiedz księżniczce, żem życia się nie pozbawił, żem odeń nie uciekał, a jeśli zginę to mój los!“—i nim spostrzegłem co chce czynić, wydarł puginałem swe oczy i ruszył przed się.

Wzrok za nim wiodłem oniemiały, patrząc na dwa strumyki krwi, z oczu wydartych płynące. I szedł po ścieżynie wolno i ostrożnie, szedł w świat, mój pan, mój książe! — aż nagle, — och księżniczko — niechaj twe oczy mgła łez okryje, niechaj z twych lic uśmiech odbiegnie, niech włosy twoje falą żałobną opadną, — aż nagle zwrócił, księżniczko, w lewo i runął w przepaść, a kiedym przypadł do krawędzi, to głuchym jękiem: „żegnaj księżniczko!“ zahuczały postrzępione, okrwawione zręby.

Leon Chrzanowski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

11)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.



Aliści zaledwie minęli pierwszy korytarz i na lewo skręcili — jak coś skoczyło z za węgła i — w dłoń klasnąwszy — tuż, tuż przed Przemkiem się zatrzymało. Nie był ci to duch żaden, tembardziej zły duch, bo dużo anielskości miał w sobie i wdzięku dziewiczego, a w oczach figlarny błysk a śmiech na ustach koralowych, który szczeremi perłami się posypał, był jednak tak cichy, choć srebrzysty, że zaledwie echo uchwycić go mogło, w pustkę korytarza odrzucić i oddzwonić tak samo perliście.

Aczkolwiek Przemko nie spodziewał się napadu ni klaśnięcia nagłego, mimo to, nie drgnął wcale, jeno nachmurzył się trochę, jakby figiel ten nie bardzo mu się spodobał—co widząc duch, w postaci dziewczęcia ślicznego — zakołysał się w lewo i w prawo, jakby na skrzydłach rozpięty i rzekł, jakby z wymówką:

— Że też ciebie nigdy przelęknąć nie mogę!..

Na co Przemko usunął się nieco na bok a pochodnię wyżej unosząc, oświecił nią księdza plebana, który gapiowatą miał minę a oczy wybałuszone.

Teraz ci na pannę pomieszanie przyszło a strach nie mały. Widząc, w jakiej opresji się znajduje, wionęła, jak wiatr, lepiej rzec, jak błyskawica wiosenna, co to nagle z chmur się wyzłoci — i zgaśnie. Szmer tylko przebiegł, pozostawiając po sobie majową woń fijołków.

Przemko, jakgdyby nic się nie wydarzyło, milcząc, posunął się naprzód — i bez przygód już żadnych wyprowadził księdza plebana z murów zamkowych, a stłumiwszy pochodnię w gaśniku przy furcie, stromą ścieżyną po skrach skrzypiącego śniegu, podpierając, nierówno idącego dobrodzieja, przywiódł go szczęśliwie na probostwo. Przed gankiem chciał pożegnać ojca, ale ten go nie puścił — i wziąwszy za rękę, wprowadził do niewielkiej i ubożuchnej o głębokiem sklepieniu komnatki.

— Siadaj, kochanku, tu, przy kominie a ogrzej się, bo jak kość zmarznąć musiałeś w swojej, wiatrem podszytej szubce, kiedy ja w baranim kożuchu nie mogłem opędzić się od nagabywań, wszędzie wciskającego się, mrozu. — Brrr!.. (wstrząsnął się) co za czas luty a mróz z oczami!..

Chuchnął w palce a buciskami stukając, zbliżał się do komina — —



Tadeusz Cieślewski. (Tow. Z. S. P.) Most na Wiśle.

Tu przysunął drewniany zydel Przemkowi o wązkiej poręczy, z sercem wyciętem po środku, sam zaś zanurzył się w krzesło głębokie i dość wygodne, choć wysiedziałe uczciwie, pocierając ręce, to w dłonie, dla rozgrzewki, chuchając.

Przemko milczał, czekając pytań księdza, ale ksiądz mruczał, chrząkał, mlaskał językiem, jakby jeszcze małmazję smakował, potrząsał głową, jakby nie wiedział od czego zacząć, wreszcie mrugnął na Przemka i pochylając się ku niemu, rzekł:

— Co to za stworzenie tak nagle drogę ci zabiegło w kurytarzu — hę?

— Perełka, księże dobrodzieju!..

— Perełka?.. toć prawda, że do perełki podobna i z barwy i śmiechu. Wszystkie inne klejnoty dzwonią a jedne perły tylko śmieją się, gdy sypniesz niemi—rzekł pleban.

— Tak ją zwą dla jej drobnej postaci a śmiechu perlistego — odpowiedział Przemko. Po chrzcie jej—Hanka, a po urodzeniu—Drohojecka.

— Niczego dzieciuch, niczego—i widać, że z tobą jest w dobrej komitywie — he?

— Gdyby nie choroba pani wojewodziny a srogość pani ochmistrzyni, toby śmiechem a gwarem dom cały wypełniła — dodał Przemko.

— Masz się do niej — co? — ksiądz spytał — —

Przemko wzruszył ramionami.

— Podoba ci się — he?...

— Mnie nic się na świecie nie spodoba.

— Patrzcie go, jaki p h i l o s o p h u s!..— zaśmiał się ksiądz. — — A przecie nie skoczyłaby, ot — tak sobie, dla fantazji, gdyby wiedziała, że mrukniesz, jak pies zły. Sameś mi rzekł, że od paru godzin już śpią w babieńcu, a tymczasem — nieprawda!.. Musiała na czatach stać, czekać, pilnować, domyśleć się, że idziesz, chód twój poznać — i prosto w oczy, jako dobremu znajomemu — skoczyć!

— Moje półbutki nie skrzypią, jeno kute obcasy księdza dobrodzieja — odezwał się Przemko.

— To ona do mnie niby skoczyła?—zawołał ksiądz. — Czyście powarjowali ty i wojewoda!... Ten mnie dziewczyną a tamten dzieciakiem obdarowuje — he?

— Zawsze figle głowy jej się trzymają— ciągnął Przemko, nie zwracając uwagi na oburzenie księdza.—Aby jeno mnie zoczyła wnet wyskakuje z ukrycia z krzykiem a w dłonie klaskaniem. Pewnikiem myśli, że przestraszyć mnie jej się uda — taki potwór!

— I ty się nie boisz?

— A czegobym się bał?

— Nie potwór — toć prawda! — mruknął ksiądz. — A ty co?.. spokojnie przechodzisz?

— Wżdy odklaskiwać nie będę a hukać.

— Nie odpowiadasz jej pięknem za nadobne? — co?

— Chyba wrzaskiem na wrzask... ale nie!...

— Nie!.. — pleban znów mruknął—Stoisz więc jak pień martwy, jak niemowa—he?

— Mówię jej: z drogi mi ustąp! ale to jedno, coby na wiatr dmuchać. Śmieje się, zabiega, prosto—do ściany przypiera — —

— I co i co? — zapytał ksiądz szybko—

— Odgarniam ją, niby mgłę srebrzystą, zasypującą mi oczy.

— A ona co?

— Nie broń się — (prawi) — chcę tylko pogadać z tobą — —

— I co?

— Uśmiecha się i prosto w moje oczy patrzy — patrzy — patrzy — —

— Gorąco ci się robi?

— Jeżeli przy piecu, to tak — a jeśli przy zwykłej ścianie — to nie!

— Ksiądz się zniecierpliwił —

— Czy ty jeszcze w bociany wierzysz—he?

Lekki rumieniec wystąpił na piękną twarz chłopca —

Ksiądz powstał, ucałował śliczną głowę pacholęcia i rzekł:

— Po bożemu tylko, po bożemu: kościół, ksiądz, stuła... Gdyby wojewoda wstręt jaki czynił, to ja go nakłonię ku wam. —

Dobrze po północy już było, gdy Przemko opuścił plebanję.

V

Mróz był ostry. Wiatrem podszyty kożuszek Przemka, nie chronił go wcale od zimna przejmującego. Co chwila pocierał ręce, to za uszy się brał, które szpilkami kłuły—i biegł szybko do zamku, w śnie już pogrążonego.

Niewielka była przestrzeń, oddzielająca plebanję od zamczyska. Między mieszkaniem księdza a siedzibą pana wojewody rozciągała się równina gładka, przez którą szła, niby pas błękitny, ścieżyna wązka, ubita stopami ludzkiemi, ale po obu jej stronach, na białej śniegu pościeli tu i tam dostrzegałeś głębokie ślady wilcze, jakby kto oskar-

dami śnieg kopał i doły głębokie w łokciowem od siebie oddaleniu zostawiał. Z lewej strony ścieżyny rozsypały się zrzadka krzaki jałowcowe, puszystym śniegiem pokryte, dalej dopiero równina zafalowała wzgórzami i lasem zabłękitniała; po stronie zaś prawej stała jednolita ściana gęstego boru, tak, że stecka ona, do zamku prowadząca, ocierała się prawie o nią. I zbój i wilk dobre schronisko tu mieli ale pewnikiem nie zachwycali się pięknościami drzew oszronionych i powyginanemi w arkady fantastyczne gałęźmi; iskrzące się brylantami śniegu igły sosen i długie festony modrzewi, po których rozlewało się srebrne światło księżyca, nie przemawiały do uczuć zbója-wilka i zbója-człowieka, choć nawet człek imaginacji mizernej przyznaćby musiał, że nie lada jaki to był twórca piękności onych a malarz przedziwny, który, wytwarzając kształtów dziwolągi, wbrew wszelkiej logiki form, obrazu nie popsuł lecz skończone dał arcydzieło.



Antoni Gawiński. Do powieści „Stare lwy".

Przemko milczał, czekając pytań księdza.

Pomimo łoskocącego zimna i szpilek w uszach, Przemko nie mógł przejść obojętnie około śliczności tylu. Tu z ramion modrzewia stuletniego śnieg się osypał — królewski, iście, płaszcz z brylantów! zaszeleściał cicho, zaiskrzył się — i opadł z bark monarszych; tam z drzew szeregu wysunął się brat ich młodszy i stanął, samotny, niby obelisk biały, okryty srebrnymi promieniami miesiąca... I jakże tu kroku nie zatrzymać, nie schwycić uchem miękkiego szelestu szaty królewskiej, nie kazać oczom ucałować śnieżnej kolumny obelisku? — Toć nie dziw, że Przemko zapomniał o mrozie szczypiącym, o chłodzie przejmującym, i nieraz bieg zwalniał i nieraz zatrzymywał się na krótką chwilę podziwu, szepcąc:

— To ci *pictor* prawdziwy — ten mróz!

Albo patrząc na arkady i sklepienia gotyckie, uformowane z wiotkich splotów gałęzi, na których sieci wątłej wznosiły się kopuły ze śniegu — na głos prawie wołał:

— To ci architekt krakowski!.. nie na nieruchomych głazach gmach stawia, jeno na kruchych gałązkach drzewnych, które nieraz pierwsza lepsza sroka złamie, gdy poderwie się nagle do lotu — i stoi to i niby mur się dzierży.

Oddając hołd budowniczym krakowskim, myślom Przemka nasuwał się kościół Panny Marji, widziany w latach dziecięcych, którego wyrzucone w błękity sklepienie, przejmowało go zawsze podziwem i strachem. Szepcąc tak, zwrócił oczy na zamek ogrodzieniecki, na one granity skał nieruchomych, które pod stopy swoje podesłał.

Wtem coś zaszeleściało — — Zdało mu się, że o jakie kroków kilka przed nim jałowcowy krzew się poruszył. Pochylił się tedy — wytężył wzrok a ręką do pasa sięgnął, za którym połyskiwał nóż obosieczny, kordelasem zwany.

Z pod krzewu błysnęło dwoje oczu krwawych — —

Przemko oparł się mocno na nogach, nóż z pochwy wyjął, silnymi palcami rękojeść ścisnął i pięść tak uzbrojoną w tył nieco padając, mruknął:

— Będzie rozgrzewka!..

Gotował się do walki — —

Dwa korale jarzących oczu posunęły się o pół kroku naprzód... i znów znieruchomiały.

— Boisz się, psiajucho?.. — odezwał się w głos Przemko. — Cierpnie skóra na waszeci — he?

Korale zmieniły się w dwa szmaragdy jarzące i znów cicho posunęły się naprzód. Widocznie zwierz badał odległość, która mu jeszcze zadaleką była do skoku...

(d. c. n.)

Nasze konkursy.

W społeczeństwach cywilizowanych, jak i w środowiskach stojących na stosunkowo nizkim poziomie kulturalnym stale powtarza się zjawisko współzawodnictwa, które właściwie ma na celu dobro osobnika, lub dobro gromadzkie.

Otóż w myśl tego zjawiska, gdy naturalną drogą w pewnym kierunku niema rozwoju, a chce się go świadomie poprowadzić, urządzają ludzie sztuczne współzawodnictwo. Rozumie się, że taka sztuczność tylko w wyjątkowych wypadkach przynosi rezultaty dodatnie. Trzeba bowiem bardzo subtelnej spostrzegawczości, by odgadnąć możliwość zainteresowania się całej psychologji zbiorowiska, jeżeli nie widać wyraźnych tendencji. W życiu ekonomicznem, gospodarczem kwestja wygląda znacznie prościej, niż w życiu psychologicznem, artystycznem i kulturalnem. Rynek, popyt wskazują ewentualności, które przy poparciu dadzą rezultaty pożądane. W takim wypadku poparcie, sztuczny wytwór konkurencyjny może doprowadzić do rozrostu, bogactwa pewnej gałęzi przemysłu lub handlu.

Z kwestjami psychologiczno-społecznemi jest natomiast daleko trudniejsze zadanie. Niby i w tej dziedzinie pedagogja, poparcie, sztuczna konkurencyjność mogą wywołać w zbiorowości pożądaną przez nas akcję, lecz na całokształt nie wywrą wpływu, jaki mieć mogą, gdy powstają naturalnie, samorzutnie. Trudno przecież ludziom zbiorowo kazać się śmiać, gdy od lat tysiąca nie zakwitł na ich ustach ten dziwny kwiat swawoli i radości. Możemy nawet bajeczne sumy wyznaczać za „śmiech", — nie otrzymamy rezultatów, gdy ton duszy społecznej jest inny. Wola ludzka wiele może. Wola ludzka żłobi góry, i nad przepaściami przerzuca mosty, lecz zawsze musi się liczyć z warunkami, z rzeczywistością. A więc trzeba wziąć pod uwagę te warunki rzeczywistości, skoro zamierzamy celowo w pewnym kierunku urabiać zainteresowanie się artystyczne, ideowe, kulturalne.

Ciekawe, że wszystkie nasze konkursy artystyczne od jakiegoś czasu nie liczą się zupełnie z rzeczywistością. Konkursy te nie są potrzebą społeczną, lecz zwykłą dowolnością. Nikt nie zważa na to, co interesuje ogólną psychę, na co domaga się ona odpowiedzi, gdzie leży najważniejsza przyczyna jej tęsknot. Rocznica przypadkowa, lub brak kasowych sztuk do wystawiania w teatrze — decyduje o charakterze konkursu. Nie dziw więc, że jakie założenia, takiemi są też i wyniki. Dla przykładu proszę wziąć dwa ostatnie konkursy dramatyczne: konkurs im. Słowackiego i konkurs teatrów rządowych warszawskich. Czy chodziło w tych konkursach o dramatyczny wyraz, naprzykład, stosunku współczesności do dramaturga, poety Słowackiego? Nie. Chodziło tylko o najlepszą sztukę sceniczną, któraby przez trzy godziny pieściła polskiego mieszczucha po całodniowej pracy, by nie przeszkadzała odpoczywać wyjałowionym nerwom, by kołysała do snu spokojnie i bez zbytnich efektów.



Mecenas Leon Papieski
inicjator konkursu na obraz historyczny.

Konkurs znów zainicjowany przez mecenasa Papieskiego, miał nad tymi turniejami dramatycznymi tę wyższość, że w założeniu swojem postarał się o uzasadnienie swojej celowości. Cała współczesna publicystyka wyrzeka głośno i wyraźnie, że polak oduczył się historycznie żyć. Zjawiają się ciągle broszury dowodzące, że zatracamy zmysł historyczności naszej egzystencji, że staliśmy się narodem, który zapomina o przeszłości, i ani marzy o przyszłości. Otóż głos tych sumień pisarskich mógł zbudzić przeświadczenie, że należy coś robić w tym kierunku, by przypomnieć minionej chwały królewskie proporce, ukazać niespożytość oraz moc lechickiego ducha. I mecenas Papieski, przez konkurs na dzieło historyczne, chciał wskazać na ów brak, chciał plonem konkursu dowieść, że... jednakże tak zupełnie niehistoryczną nie jest ta nasza dusza, nasza psychologja. Wynik konkursu zawiódł zapewne nadzieje mecenasa Papieskiego, jak zawiódł nadzieje wszystkich tych, co sztuką, kulturą interesują się głębiej.

Zachodzi jednak pytanie—czy mogło być inaczej, czy mógł być plon konkursu wydajniejszy jakościowo? Podobno, że nad konkursem pracowało wielu artystów. Nie zdążyli nadesłać swoich prac, nie zdążyli skończyć na termin przeznaczony. Podobno nawet zwracali się do jury z prośbą o odroczenie. Że próśb tych nie uwzględniono, gdy na czas nadesłano prac tak mało, wydawałoby się dziwnem. Prace już nadesłane mogły przecież poczekać. W walce z większą ilością współzawodników, tak dzieła, jak i sędziowie mieli objektywniejszą możność zadośćuczynienia warunkom, jakie postawił mecenas Papieski. Stało się wbrew tym żądaniom — i decyzje jury konkursowego wywołały w prasie komentarze a nawet protesty (Cz. Jankowski, W. Gomulicki, Ad. Neuwerth-Nowaczyński).

Nie chcemy wchodzić w zakulisową stronę rozdziału nagród konkursowych. Nie chcemy się spierać kto powinien był otrzymać pierwszą, a kto drugą nagrodę. Interesuje nas natomiast fakt, że ani jedna nie odpowiada w ścisłości wymaganiom, jakie powinni byli uwzględnić artyści stający do konkursu. Bo chodziło przecież o wybór takich momentów z dziejów naszych, które zaważyły na kulturze polskiej. Żaden z obrazów (literalnie żaden) nie przedstawia bezpośrednio takiego historycznego momentu. Śmierć

Warneńczyka dla kulturalnego życia Polski jest pośrednio tylko takim znaczącym momentem. Śmierć Wajglowej—oto moment o jaki chodzi warunkom konkursu. Nobilitacja Głowackiego, oto drugi taki moment. Założenie uniwersytetu Jagiellońskiego—oto trzeci. Praca Kołłątaja, oto czwarty. Możnaby takich momentów wyliczyć jeszcze conajmniej dwadzieścia. Każdy człowiek, znający historję swojego narodu, znalazłby ich kilka, a więc miałby możność wyboru. Zresztą fakty bezpośredniego związku z kulturą są szeroko znane. Mecenas Papieski nie zacieśniał przytem pól; wszystkim dziedzinom pozostawił wolność, zaznaczył tylko, że chodzi mu o kulturalne znaczenie faktu historycznego, jaki ma być na obrazie przedstawiony. Dla życia naszego politycznego takim naprzykład momentem kulturalnej wagi, była wojna z Moskwą, i późniejsze projekty co do Władysława na tron moskiewski. Ten krok rzeczypospolitej odbił się na długo na całej naszej politycznej przyszłości. Chodziło więc o to, by dać w obrazach momenty dziejowe, jakie urobiły z nas tych, a nie innych ludzi, jakie wytworzyły ten, a nie inny stan rzeczy. Boć przecież i poświst skrzydeł husarji i mozolna zaciekła praca naszej reformacji i rozpusta lat saskich — wszystko to wyrasta z naszej zbiorowej duszy.

Otóż, obrazy nadesłane zminęły się z wymaganiami, lub dały tylko pośredniość, a chodziło o bezpośredniość w wypowiedzeniu tendencji. Społecznie rzecz biorąc, należy uznać, że nie mogło być inaczej. Oduczyliśmy się historycznie czuć, oduczyliśmy się więc historycznie widzieć naszą przeszłość. Malarstwo stwierdziło tylko fakt, który już przedostaje się do świadomości ogółu poprzez publikacje socjologów i publicystów. A więc zapewne i sędziowie konkursowi w ten sam sposób rozumowali, gdy nie chcieli odroczyć terminu. Ilość może zwiększyłaby się, ale jakość byłaby taż sama.

Ach! gdyby przyszłość zaprzeczyła tym wywodom.



Scena z apoteozy Zygmunta Krasińskiego.
(Artysta-malarz Władysław Dietrich jako Zygmunt Krasiński).

Ku czci Krasińskiego.

Teatr Wielki był przepełniony. I powinien być, przepełniony, gdyż obchodzono rocznicę urodzin jednego z największych synów ziemi polskiej. A jednak coś dziwnego odczuwało się w nastroju tego wieczoru. Jakaś sztywność owładnęła publicznością, nie witano entuzjastycznie wykonawców, choć warci byli, by podziękowano głośno, że przypomnieli jubileusz urodzin mistrza pezji polskiej.

Słowo wstępne wypowiedział p. Władysław Rabski. Barwny, przystępny wykład wysłuchała publiczność w skupieniu. P. Rabski tragizm duszy Krasińskiego przedstawił, jako niewiarę w arystokrację i demokrację, choć sercem całem poeta lgnął do herbów i mieczów. Nigdy Krasiński nie zaufał ideałom Pankracych. Samotną więc i potężną jednostką był Krasiński, bo tylko dusza potężna może wytrwać w takiej samotności. „Glossę Sw. Teresy“ deklamowała p. Trapszo. P. Staszkowski i Janusz odegrali scenę z „Nieboskiej“. I o ile p. Staszkowski stał na wysokości zadania, o tyle p. Janusz pudłował w wykonaniu roli dumnego, mądrego arystokraty. Kilka piosenek Karłowicza odśpiewała z powodzeniem p. Colignon - Szymańska. Chór Lutni wykonał pieśni Galla, Moniuszki i Chopina. Pan Kotarbiński odczytał ustępy, które później przedstawiły nam żywe obrazy. Orkiestrą dyrygował p. T. Godecki. Późno, bo o północy zakończono uroczystość.

TEATR.

„Kobieta bez skazy“.

Widownia chichotała, dwuznacznie rozglądała się po swoich bliźnich. Każdy przypuszczał, że jest obecny na jakimś ekscentrycznym... skandalu, powstrzymywał więc na wargach z przyzwoitości złośliwe uśmiechy, zaczepne słowa. Chwilami i oburzenie zjawiało się na sali Lecz niebawem wesołość, swawola, dwuznaczność zamieniła się w srogą maskę rzymskiego liktora. Z desek sceny poczęły płynąć słowa społecznego sądu, słowa kodeksu moralnego. Rozigrana fala huraganem spłynęła w oddale. Pozostały puste, piasczyste wydmy morskiego brzegu, smutne i ciche, jak opętane serce ludzkie.

Dziwny jest bowiem ten dramat „kobiety bez skazy“. Kołysze się myślą swoją między biegunem „dobra i zła“, waży wszystkie szanse, lecz zawsze

niezdecydowanie jest jej konkluzją. To niezdecydowanie — podkreśla autorka, jako specyficzny przymiot duszy kobiety. I dopiero aż po pocałunku Halskiego decyduje się pani Rena na krok stanowczy. Dużą rolę w tej decyzji odgrywa środowisko, zewnętrzność, która otacza każdą kobietę. Widzi szalejące, orgjastyczne ciała, słyszy o upojeniach, których nazwać żadne słowo nie potrafi—a sama musi wytrwale pchać zimną taczkę swojego żywota. Z początku w wyobraźni rwie owoce zakazane. Swawolą, flirtem chce ukoić głód tragicznie-pięknych wrażeń. Żart ma zadowolić, żart ma przesłonić oczy, czujnej, wołającej prawdzie. Nie łatwo jednak odżegnać się od koszmaru, gdy już naległ na pierś, gdy dusi swoją obecnością. Raz rzucona kula, po pochyłości leci bez zatrzymania się, aż do celu swego przeznaczenia. Pani Rena nie może się już cofnąć, gdy rozpoczęła swoje dzieło. W sztuce Zapolskiej ten momet jest zaznaczony mocno. Zapolska tłumaczy jednak swoją bohaterkę, wskazuje, że nie o rozpustę tu chodzi. Gnębione życie ludzkie upomina się o swoje prawa. Czekało ono długo w pętach społecznego blichtru, aż zerwało tamy i popłynęło wezbraną falą.

,,Kobieta bez skazy" jest taką, a nie inną, bo wytworzyły ją takie a nie inne warunki życia społecznego i prawnego. I nawet gdy porwie pęta, będzie musiała liczyć się z rzeczywistością, bo co chwila przypomni jej ona o swojej obecności. Halski uosabnia tę dwulicowość społecznego stosunku środowisk do kobiety. Gdy została jego narzeczoną nie może jej darować tego, na co ją sam namawiał, co uważał za wartość w kobiecie. Sztuka Zapolskiej rodzi wiele refleksji, może wiele przynieść poważnemu człowiekowi do przemyślenia. Rażą niektóre techniczne szczegóły w fakturze dramatu, ale znać w nim lwi pazur wielkiego talentu.

Aktorzy grali doskonale. Pan Wostrowski, jako Halski, był mistrzowski. Rzadko się widzi taką grę. Pan Osterwa przekonywał wszystkich na sali o swojej miłości dla p. Reny. Prezentuje się bowiem tak estetycznie, mówi tak przekonywująco, że składały się mimowolnie nieraz ręce do oklasku. Na scenie teatru Rozmaitości powinien już pozostać p. Osterwa. Farsa marnuje tylko jego dyskretny, młody, bujny talent. *E. C.*



Teatr Rozmaitości. Scena z „Kobiety bez skazy".



Pablo Casals
slynny wiolonczelista.

Z muzyki.

Zimowe sezony koncertowe innych lat bywały najbardziej ożywione w poście, obecny jednak sezon, wobec cichego karnawału cieszył się największem ożywieniem w styczniu a przedewszystkiem w 1-ej połowie lutego. Z rozpoczęciem postu, choć prowincja w części rozjechała się do domów, sezon trwa jednak w całej pełni. Nie znać ubytku w salach koncertowych, nie znać i w teatrach. Czyżby więc żywioł miejski przeważnie zapełniał przybytki sztuki? Trudno statystykę przeprowadzić, to tylko pewne że panowie wiejscy wolą grę... w klubach, a panie — trudno przecież żeby same na koncerty chodziły.

W 18-ym popołudniowym koncercie Warsz. Ork. Symf. brała udział młodziutka pianistka p. Leokadja Nowacka, uczennica prof. Michałowskiego. Koncert fortepianowy G-dur Bethowena wykonała z uczuciem i doskonałą techniką.



Leokadja Nowacka
młodziutka pianistka, rokująca już dziś nadzieje na przyszłość.

X wielki abonamentowy koncert symfoniczny zgromadził tłumy publiczności. Solistą wieczoru był słynny wiolonczelista Pablo Casals, który odegrał z towarzyszeniem orkiestry koncert wiolonczelowy Dworzaka, w tym jednak popisie nie ujaw-

nił znakomity wirtuoz wszystkich zalet swej gry, dopiero w dwuch fragmentach Boccheriniego wykazał cudny ton i dużo uczucia, zyskując huczne oklaski. Orkiestra świetnie wykonała piękny poemat symfoniczny Opieńskiego „Lilla Weneda" i symfonję Francka.



Grzegorz Fitelberg
b. dyrektor Warsz. Orkiestry Symf., powołany na takież stanowisko w cesarskiej operze wiedeńskiej.

Ostatnie telegramy donoszą że były dyrektor Warsz. Orkiestry Symfonicznej, Grzegorz Fitelberg, został powołany na kapelmistrza Opery cesarskiej w Wiedniu. *Z.*

„Na wzgórzu śmierci".

„Koło dramatyczne" we Lwowie wystawiło onegdaj wspaniały poemat Kasprowicza p. t. „Na wzgórzu śmierci". P. Krzyżanowski, niestrudzony kierownik „dramatycznego koła", dał galicyjskiej stolicy możność ujrzenia na scenie tego potężnego symfonicznego poematu. Artyści, jakoteż i amatorowie, odegrali ze swobodą i odczuciem ten wszechludzki poemat.

Sprawa adw. Patka.

Znana jest ogółowi głośna sprawa wykreślenia adwokata Patka z listy adwokatury, za jego działalność w sprawach politycznych.

Adwokat Patek od decyzji izby sądowej warszawskiej odwołał się do senatu, żądając uchylenia wyroku i motywując, że wykracza on przeciwko zagwarantowanej przez prawo tajemnicy zawodowej adwokata i niczem nieskrępowanej wolności narad obrońcy z klijentem.

Powszechnie, niezwykle zainteresowano się sprawą. Nasze i rosyjskie koła prawnicze i korporacje adwokatury przysięgłej, poświęcały jej szereg specjalnych posiedzeń, podnosząc doniosłość samej zasady praw obrońcy. Mniemano, że senat przychyli się do rekursu adw. Patka.

Na posiedzeniu w ubiegłą sobotę, senat jednak większością 4 głosów przeciwko 3, skargę Patka odrzucił.

Według krążących pogłosek, prawdopodobnie minister sprawiedliwości nakaże rewizję procesu, wobec podniesionych przez ogół prawniczy wątpliwości.

Ze swej strony możemy wyrazić przekonanie, że choćby decyzja izby sądowej pozostała w swej mocy i adw. Patek do czynności obrońcy, tak bardzo przezeń umiłowanych, już miał nie wrócić, to z grona ludzi gorąco dla społeczeństwa naszego pracujących, nie ubędzie cenna siła przez Patka reprezentowana i — że jego nieugięta energja, odwaga i talent w tej lub innej postaci i nadal krajowi naszemu służyć pomocnie będzie.



Stanisław Patek
wybitny obrońca politycznych, którego głośna sprawa była w tych dniach rozpatrywana w senacie.

Pisma Br. Chlebowskiego.

Dużo się u nas rozprawia o krytykach feljetonistów, piszących o teatrze. Przyzwyczajono się ten rodzaj wzmianek uważać za krytykę. Wogóle krytyka u nas jest czemś w rodzaju kroniki wypadków lub notat o wyścigach. Nie dziw więc, że praca prawdziwych i powołanych badaczy pozostaje w cieniu. Nie mówi się o niej, nie pisze, zaledwie tylko w gronie specjalistów zyskuje osobnik pracujący uznanie. A jednak



Grupa wykonawców przedstawienia w lwowskiem „Kole Dramatycznem" wspaniałego poematu Kasprowicza „Na wzgórzu śmierci".

zależałoby na tem, by ideami takiego, w cieniu zostającego krytyka, społeczeństwo nauczyło się żyć. By nauczyło się te idee dyskutować, przetapiać na oręż samowiedzy gromadzkiej.



Bronisław Chlebowski.
(Ze zbiorowego portretu Lentza).

Pisma Chlebowskiego są jednym z takich dorobków, który nie powinien być zapoznany. Należy głośno powiadomić o nich społeczeństwo, należy postawić jego ideologję na porządek dzienny rozważań kulturalnych w Polsce. Sięgają bowiem jego prace narodzin piśmiennictwa polskiego, a i o twórczości obecnej dają sąd wytrawny i wyraźny. Jest przytem w książkach Chlebowskiego taki nieuprzedzony objektywizm, taka miłość dla przedmiotu o którym pisze, że nie zrazi go niekatolickość pieśni protestanckich, ani też polityczna różnowierczość. Do każdego twórcy przychodzi z pietyzmem, jednako szanuje pisarza o barwie białej, jak i czerwonej — kładąc przeważnie nacisk na zrozumienie o co danemu człowiekowi chodziło. I dlatego jego prace dyskusyjne są zabójcze dla przeciwników. Proszę, choćby dla przykładu, przeczytać artykuł o „Kochanowskim w dziele prof. Tarnowskiego". Odrazu zauważymy, że Chlebowski przychodzi do kwestji poważnie, a jednakże nie tuszuje prawdy w imię uprzedzeń jakichś.

Co jednak najważniejsze w pracach Chlebowskiego—to jego metodologja. Przez lat czterdzieści myślał nad stosunkiem, jaki winien zajmować krytyk względem pisarza i przyszedł do rezultatów, które powinny zaważyć na szali rozważań metodologicznych. Uwzględnia on w swojej krytyce wszystkie możliwe perspektywy widzenia ideologicznego, nie neguje Taene'owskiego założenia o środowisku, a jednakże i walory nawskroś estetyczne nie uchodzą z pod jego wrażliwej spostrzegawczości. Młode pokolenie krytyków musi zapoznać się z tymi rezultatami metodologji krytycznej, gdyż bez świadomej metody nie jest się krytykiem. Tylko świadomość daje sankcję na prawdę sądu, jaki wygłaszamy. A przecież o to powinno chodzić każdemu poważnie myślącemu człowiekowi.

Pisma Chlebowskiego pozostaną w naszej kulturze i nauce, jako pomniki czasu. Niech więc z nich korzysta każdy, kto się uważa za syna swoich czasów i pamięta o przeszłości swojej, jak i narodowej!

Ostatni.

W lutym b. r. pochowała niepodległa Belgja ostatniego z żyjących żołnierzy, którzy brali udział w walce o wyzwolenie ojczyzny w r. 1830. Ostatni z nich, Filip Demoulin, urodził się w grudniu 1809 r. umarł w 1912. Miesiąc temu czerstwego jeszcze starca w jego skromnym domku we wsi Arquenues (pod Brukselą) odwiedził król, składając starcowi wyrazy szacunku i wdzięczności. W pogrzebie Filipa Demoulin wzięła udział cała oficjalna Belgja, ministrowie, delegaci pułków, starych weteranów, i t. d. Za skromną trumną, którą nieśli wiekowi synowie powstańców z 1830 r., przykrytą starą kurtą wojskową, postępował, wraz z rodziną zmarłego, zastępca oficjalny króla Alberta i najwyżsi reprezentanci Belgji.



Filip Demoulin
ostatni żołnierz, który brał udział w walce o wyzwolenie Belgji w 1830 r. Zmarł w lutym, przed kilku dniami.

Szczęśliwy kraj, który, wysłużonym bojownikom zapewnić może długie spokojne dożywocie, który pogodną ich śmierć uczcić może należnym hołdem.

Przegląd polityczny.

Chodzą przypuszczenia, że ministerjum skarbu wniesie do Dumy państwowej projekt opodatkowania osób, uwolnionych od służby wojskowej. Podatek ma, przypuszczalnie, wynosić rubli sześć od osoby w ciągu lat czterech. Podatek ten będzie, ewentualnie wprowadzony od 14 stycznia 1913. Napewno można liczyć, że projekt ten nie wejdzie tak szybko w życie jak przypuszczają różne rządowe organy. Duma państwowa ma jeszcze tyle, tyle spraw do załatwienia przed skończeniem swojej kadencji, a przecież już za jakie trzy miesiące skończy się czas jej prawnego pełnomocnictwa narodowego,

Prasa zagraniczna i nasza szeroko rozpisuje się o nowomianowanym ministrze skarbu Austrji i Węgier dr. Leonie Bilińskim. Dr. L. Biliński liczy już lat 70. Działalność publiczną rozpoczął na polu naukowem

i w roku 1868 został docentem, w 1871 nadzwyczajnym, a w roku 1874 zwyczajnym profesorem ekonomji politycznej we Lwowie. W roku 1878 był rektorem uniwersytetu we Lwowie. Jako profesor pracował wiele i owocnie. Z tego okresu pochodzi szereg dzieł i rozpraw bardzo poważnych, które mu zapewniły stanowisko jednego z najlepszych znawców ekonomji i skarbowości w Polsce. Działalność polityczną rozpoczął w 1878 jako poseł na sejm lwowski, w pięć lat potem zasiadł w parlamencie wiedeńskim. W roku 1892 został prezydentem państwowych kolei austrjackich w roku 1895 ministrem skarbu w gabinecie Badeniego. Po jego upadku został gubernatorem banku Austro-Węgierskiego; potem znów ministrem skarbu w gabinecie Bienertha. Obaliło go koło polskie, a głównie przewodząca w niem demokracja narodowa. Los zrządził, że po rozgromie władzy endecji galicyjskiej, dr. Biliński objął prezydjum koła i—został ministrem skarbu.

W Ljonie odbywa się obecnie zjazd socjalistów francuskich. Kongres ten zgromadził 400 delegatów. Lewicę zajęli Guesdyści; Blankiści i reformiści zajęli stronę prawą. Najwybitniejsi przedstawiciele tego ruchu są czynni w tym zjeździe. Ciekawe, że Magdalena Pelletier w kostjumie męskim zjawiła się na sali. Z niemiec przybył Müller, z Włoch — Pompeo Ciotti, z Anglji — Keir Hardie, z Norwegji — Henar Lee, z Belgji — Dewinne i inni.

W zestawieniu z tym zjazdem socjalistów, plany wojny z niemcami na przyszłość powinny się wydawać niemożliwe. A jednak kongresy socjalistyczne radzą swoje, a rządy robią też swoje. Nieszkodliwość socjalizmu wyraźnie się też przejawiła w parlamencie włoskim. Znany przywódca Terri zadeklarował zupełne zaufanie do rządu w sprawie okupacji Trypolisu. Odzywały się głosy przeciwne, lecz przy głosowaniu pozostały w rażącej mniejszości. (1%.)

Strejk górników w Anglji rozpoczął się na dobre. Jakie będą rezultaty dziś przewidzieć trudno. To pewne, że ośmiogodzinny dzień pracy w Anglji nie jest mitem. Rząd angielski postanowił dla 3-ciej swojej floty morskiej przyjąć za podstawę operacyjną port St. — John w Kanadzie. Zażądano ogólnego kredytu w tym celu, który wyniesie 45 miljonów franków...

W przeszłym tygodniu odbył się w Częstochowie zjazd kooperatywistów polskich. Sądząc z liczby uczestników, powinniśmy z lepszą nadzieją spoglądać w przyszłość. Kraj bowiem jest usamodzielniony w dużym stopniu, jeżeli posiada silne instytucje współdzielcze. Wszystkie formy kooperacji mają jeden jedyny cel: wyzwolenie drobnych sił ekonomicznych z pod przewagi kapitału spekulacyjnego (żydowskiego). Wiemy doskonale ile procent rocznie musimy opłacać tym różnym spekulantom. Kooperacja zapobiega wyzyskowi.

Dziesiąty paragraf, w projekcie wyodrębnienia Chełmszczyzny przy dwukrotnem silnem głosowaniu przepadł. A więc Chełmszczyzna ma pozostać przy Królestwie Polskiem, choć utworzą z niej osobną gubernję.

Prosimy o przeczytanie odezwy od redakcji na ostatniej stronicy.

Do bieżącego numeru dołącza się przekazy pocztowe dla Sz. Prenumeratorów z prowincji, z prośbą o wręczenie lub przesłanie takowych znajomym.

Sprawa Macocha.

Smutna sprawa rozpatrywana dziś jest w starym grodzie trybunalskim, gdzie ongi królowie polscy jeździli sądy sprawować... Sprawa tem smutniejsza, gdy weźmiemy pod uwagę warunki w których się znajdujemy. Każde nieszczęście, niepowodzenie—to cegiełka skrzętnie gromadzona przez przeciwne nam żywioły w celu podźwignięcia sobie gmachu kosztem naszej wiekowej kultury, historji i tradycji.

Sprawa mnicha - zbrodniarza sądzona dziś w Piotrkowie, to nie wypadek nad którym przechodzi się do porządku dziennego, to nie zwykła sensacja, nie czcze podrażnienie płytkiej ciekawości tłumów. Sprawa ta głębiej przenika społeczeństwo, szarpiąc w niem i tak już bólem nabrzmiałe struny.

Nie marna osobistość podsądnego obchodzi nas, nie cały ponury szereg współoskarżonych, nie tyle sam fakt zabójstwa i kradzieży, ile zbrodnia dokonana przeciw tym miljonom, które z wiarą najgłębszą słały z pod szarych strzech myśli swe gołębice białe, słały w rannym i wieczornym pacierzu, słały w



Klasztor Jasnogórski.

każdej życia potrzebie kędy klasztor nimbem świętości otoczony, kędy Królowa przenajświętsza opiekę nad narodem sprawuje...

Niejednokrotna zwycięska obrona Jasnej Góry przed najeźdźcami, gdy kraj cały poddawał się nieprzyjaciołom, bardziej jeszcze potęgowała religijne uczucia narodu i tak już może jednego z najreligijniejszych. Zwycięstwa te wzrastały do potęgi cudu; nie tyle orężowi, nie tyle samemu męstwu je przypisywano, ile — mocy nadprzyrodzonej. Mocą tą była głęboka wiara rycerzów-obrońców klasztoru, ona—zwyciężała.

W chwilach zwątpienia, ona dodawała sił i energji do czynu, ona krzepiła w potrzebie.

Pamiętny jest i nie zginie w pomroce wieków rok 1655—dzielna obrona klasztoru przeciwko szwedom z Müllerem na czele, konfederacja tyszowiecka, śluby Jana Kazimierza i bohaterstwo Czarnieckiego... W któremż z serc polskich nie jest to zapisane?

A później bohaterska obrona Jasnej Góry w czasie konfederacji barskiej, gdy naród dźwignąć się pragnął po ohydnej epoce saskiej. Długo i dzielnie broniono się z tych murów pod wodzą Pułaskiego, aż dopiero w roku 1772 poddano twierdzę przeważającym siłom Suworowa.

Miłość Boga i miłość Ojczyzny przyświecała rycerzom-obrońcom.

W początkach XIX stulecia znów Jasna Góra chwały orężowi polskiemu przysparza a w 1809 r. powstrzymuje natarcie wojsk austrjackich, walecznie stawiając czoła pod wodzą pułkownika Kajetana Stuarta, przeciw przeważającym siłom nieprzyjacielskim.



Kaplica z okradzionym cudownym obrazem.

Wobec tylu świetnych tradycji czyż może aureolę słoneczną przyćmić czyn jakiejś zdeprawowanej jednostki? Czy głębię wierzeń religijnych może obalać ten lub ów, pierwszy z brzegu łotr lub awanturnik?

Mimo to, cios zadany teraz sercom polskim, straszniejszym jest stokroć niż legiendarny cios zadany świętokradzkiem cięciem szabli w Boskie Oblicze w 1430 r. podczas napadu zbójeckiego na klasztor i rabunku świętości.

Wtedy wiara ludu była może bardziej fanatyczna, lecz promienie jej nie sięgały jeszcze tych głębi do których dziś już mają dostęp i krzywda wyrządzona nie mogła być równą krzywdzie dziś wyrządzonej. Inaczej się czuje, i inaczej jeszcze będzie się kiedyś czuło...

Wina, którą ma zbój-średniowiecza, przeprowadziwszy analogję, z natury rzeczy musi zmaleć wobec winy współczesnego bandyty.

Taki Macoch z całą swą szajką, choć wypiera się udziału rabunku kosztowności z cudownego obrazu i może rzeczywiście nie ośmieliłby się wymierzyć wizerunkowi świętokradzkiego cięcia, zadając cios żywym naszym sercom, sercom—gdzie Bóg, większego dopuścił się świętokradztwa.

. . . .

Zakon Paulinów należy do zakonów kontemplacyjnych, a każdy członek zakonu winien się skupiać w sobie, oddając się rozmyślaniom i modlitwie. Zadaniem zaś zakonów misyjnych jest przedewszystkiem nauczanie. Praca zakonów misyjnych—praca dla społeczeństwa, mimo może nieraz pewnych niedociągnień do czasu i postępu, daje jednak owoce, gdy klasztory kontemplacyjne żadnej przecież



Kaź. Korwin-Piotrowski obrońca Macochowej-Krzyżanowskiej.



Dobrosław Kleyna obrońca Macocha.



o. Euzebjusz Rejman, świadek w procesie, z upodobaniem przebywający obecnie zagranicą.

korzyści społeczeństwu nie dają. Egoistyczne zamykanie się w sobie danej jednostki — gdy zamykanie to nie jest środkiem dla pogłębienia swojej gleby duchowej w celu wzmożonej wydajności zdrowego ziarna dla społeczeństwa — nieraz więcej złego niż dobrego przynieść może, bo niepożądanem jest dobrowolne odsuwanie się od wspólnej pracy i czynu.

Wchłanianie tylko promieni a nie promieniowanie na zewnątrz — to objaw wielce ujemny, gdy wszystkie siły i wszyscy, jak jeden mąż, winni ramię



Damazy Macoch
zbrodniarz-rozpustnik.

przy ramieniu nieść trudy dla dobra całej społeczności.



o. Izydor Starczewski
współoskarżony.



Hel. Macochowa-Krzyżanowska
współoskarżona.



Wacław Macoch
ofiara mordu.

Bezczynność i dobrobyt szczególnie sprzyja apatji społecznej danego osobnika a dalsza konsekwencja tego — egoizm, prowadzi nieraz do nadużyć na rzecz własną i—niekiedy do ostateczności, której n a j w y ż s z y wyraz mamy właśnie przed sobą.

Rządy o. Rejmana, b. przeora jasnogórskiego, zaznaczyły się wieloma ulepszeniami natury administracyjnej, lecz ulepszeniami skierowanemi tylko ku wygodzie własnej i kilkudziesięciu mieszkańców klasztoru. Choć pieniędzy było bardzo wiele, nie robiono nic coby mogło służyć choćby ku wygodzie tych, którzy pieniądze dawali. Tysiące pielgrzymów nocowało pod gołem niebem, nieraz na deszczu i słocie, a straganiarze i spekulanci obdzierali pątników, dając im za wygórowaną cenę pożywienie, którem bodaj że psy należałoby karmić. Nie pobudowano dla tych ludzi, którzy ciężko zapracowany grosz nieśli na ofiarę, ani baraków, ani jadłodajni, ani jednem słowem nie uczyniono nic, coby świadczyło



Stanisław Załoga
współoskarżony, który zbiegł.

o pieczołowitości względem rzesz nadciągających falą z całego kraju.

Więzy karności klasztornej uległy natomiast rozluźnieniu i tylko część o. zakonnych z obecnym przeorem o. Welońskim na



Sofa, w której wywieziono trupa Wacława Macocha.

czele, prowadziła życie bogobojne i ascetyczne, inni zaś, stronnicy ówczesnego przeora o. Rejmana, wyłamywali się wciąż z pod klauzury klasztornej.

A teraz smutny epilog—konsekwencja rozprzężenia i kronikarski rzut na sprawę.

Były pisarz gminny o. Macoch, znajduje sobie kochankę Helenę Krzyżanowską i szafując kradzionemi pieniędzmi z kasy klasztornej, urządza sobie i jej wygodne gniazdko w Warszawie, chcąc zaś pozory swego stosunku do Heleny złagodzić, fałszuje jej pasport i głosi odtąd że jest ona wdową po starszym jego bracie. Jednocześnie obmyśla wygodną zasłonę dla siebie, wydając kochankę za drugiego swego brata. Brat atoli okazuje się zazdrosnym mężem i nie chce sam bez Heleny wyjeżdżać do Ameryki, dokąd go Damazy usiłuje wyprawić. Nie mogąc się pozbyć brata, Macoch zabija go siekierą, dając mu jeszcze absolucję przed śmiercią. Za poradą oddanego sobie sługi klasztornego, Załoga, chowa trupa do sofy i wywozi z klasztoru, zatapiając w pobliskim stawie. Wkrótce atoli sofę odnaleziono i rzecz się wydała, epilogiem zaś jest uwięzienie wszystkich winnych, prócz Załoga, który zdążył umknąć.

Dziś sprawa ta jest na wokandzie sądu okręgowego w Piotrkowie; wyrok może zapaść dopiero za kilkanaście dni po przesłuchaniu oskarżonych i 120 świadków! Obrona i oskarżyciel publiczny również długie mowy przygotowują, sprawa więc z natury rzeczy przeciągnie się czas dłuższy.

OD REDAKCJI.

Na listy wciąż otrzymywane od Sz. Czytelników z życzeniami rozwoju „Złotego Rogu", trudno nam w odpowiedziach redakcji poszczególnie dziękować, zajęłoby to zbyt wiele szpalt kosztem treści numeru, na tem więc miejscu składamy wszystkim przyjaciołom naszego pisma najserdeczniejsze podziękowanie.

Ze swej strony znów, staramy się z każdym numerem doskonalić pismo, usuwając stopniowo wszelkie niedokładności lub braki, których w początkach nie sposób jest uniknąć.

W stosunkowo krótkim paromiesięcznym czasie, daliśmy przedewszystkiem szereg utworów takich pisarzy, jak Krasiński, Orzeszkowa, Gomulicki, Gąsiorowski, Gliński, Gawiński, Choromański, Jaroszyński, Lemański, Katerla, Słoński, Wolski, Różycki, Kwiatkowski, Maupassant, Strindberg, Meril (tł. Rabskiej), jak również czasami i mniej znanych autorów, których prawdziwy talent czujemy się w obowiązku popierać.

W dziale reprodukcji artystycznych pomieściliśmy szereg dzieł najwybitniejszych talentów, a prócz tego **w bieżącym miesiącu damy wszystkim naszym Czytelnikom, jako dodatek artystyczny, reprodukcję wspaniałej rzeźby znakomitego profesora-jubilata Teodora Rygiera.** Reprodukcja słynnej „Julietty" precyzyjnie wykonana, odbita na kredowym papierze, będzie prawdziwą ozdobą albumów i kolekcji każdego z naszych Przyjaciół-Czytelników.

Mamy nadzieję, że dotychczasowi Sz. nasi Czytelnicy zechcą polecać „Złoty Róg" najszerszemu gronu znajomych. W tym celu **dołączamy do niniejszego numeru i dołączymy jeszcze do 3-ch następnych numerów w bieżącym miesiącu, przekazy pocztowe, prosząc o łaskawe rozdanie lub przesłanie takowych znajomym,** prenumeratorzy zaś, którzy wnieśli przedpłatę dopiero za I kwartał, zechcą jeden przekaz zatrzymać dla siebie w celu odnowienia prenumeraty.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu,	rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15
Za granicą i za oceanem	„ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25
W Austrji i Galicji	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.
Numer pojedyńczy kop. 10 — halerzy 25.		Zmiana adresu — 20 kop.	

Przybywający prenumeratorowie otrzymują komplety. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie **Mazowiecka № 5,** wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 50 kop. Nadesłane, w tekście—75 kop. Reklamy—40 kop. Ogłoszenia na ostatnich kolumnach i na 3 str. okładki 25 kop. Na 4 str. okładki—40 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17